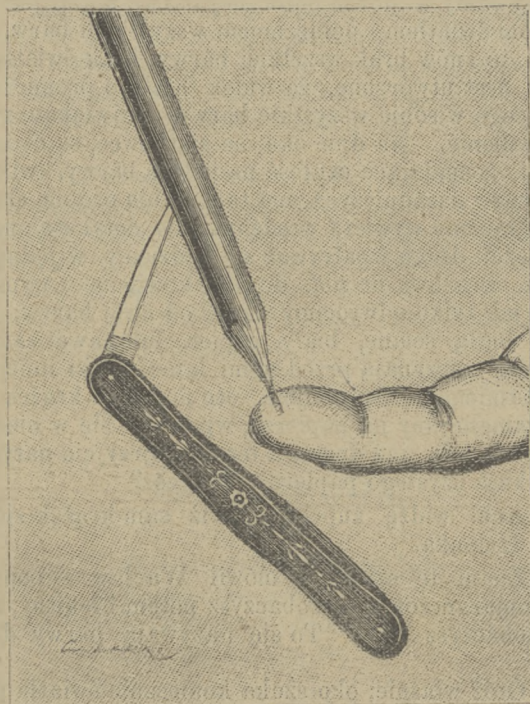


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Niedawno tłumaczyliśmy, co znaczy środek ciężkości i równowaga ciała. Oto znów zabawny a łatwy do wykonania przykład, potwierdzający to prawo fizyczne. Opis szcze-

gółowy zbyteczny tu jest w obec rysunku, który przedstawia bardzo dokładnie rzecz całą. Koniec scyzoryka wtyka się w ołówek i ten następnie zaostrozonym końcem ustawia się na palcu. Nie potrzebujemy dodawać, że trzeba próbować, przesuwając, aż póki się nie natrafi na środek ciężkości i nie ustawi ołówka w równowadze.

Pracownia pana Adama.

POGADANKA NAUKOWA.

Wacław i Helenka powrócili z Zakopanego, dotrzy-
mali obietnicy, przywieźli sędziwemu przyjacielowi piękny
zielnik. Znaleźli i zasuszyli starannie prawie wszystkie ro-
śliny, które im tak dokładnie opisał, z wielką przyjemnością
obejrżeli je raz jeszcze w pracowni p. Adama, a on był
uszcześliwiony. Każdy kwiatek przypominał mu jakąś pię-
kną górską okolicę, bo kiedyś dawniej, będąc młodszym i sil-
niejszym, zwiedzał całe Tatry i znał je doskonale.

Helenka tak się rozmiłowała w zbieraniu kwiatów, że
i po powrocie z letniej wycieczki korzystała z dni pogodnych
i w towarzystwie młodej ciotki, lubiącej także dalekie prze-
chadzki, wyruszała często pieszo do Łazienek, a tam na łą-
kach zrywała całe pęki polnych kwiatów. Raz powracając
spotkały znajomą panią, mieszkającą w ładnym domku
z ogrodem w alejach. Pani ta zaprosiła je do swego ogrodu,
a widząc snop dzikich kwiatów w ręku Helenki, prosiła
uprzejmie, żeby sobie urwała drugi bukiet w jej ogrodzie,

upewniała z uśmiechem, że będzie daleko ładniejszy. Helenka skorzystała z tej grzeczności i powróciła do domu obladowana kwiatami najrozmaitszego rodzaju

Przed wieczorem oboje z Wacławem poszli do p. Adama, a Helenka zanosła mu wspaniałą bukiet, złożony w części z dzikich, a w części z ogrodowych kwiatów.

— Niewarto ich było zasuszać — rzekła — niema tu żadnych osobliwych okazów, a możnaż czasem popatrzeć na kwiaty i tak, dla przyjemności jedynie, nie myśląc zaraz o różnych botanicznych ich własnościach. Niechno pan spojrzysz, kochany panie Adamie, co to za barwy przepyszne, jak przesłicznie wyglądają przy sobie, jakby zapożyzczały blasku jedne od drugich. Doprawdy, zdaje się, że błękit chabrów jest żywszy obok tej purpurowej georginii, a ona znów jaskrawszą barwą płonie na tle zielonych liści paproci. Ale bo też ja umiem układać kwiaty, dobierając barwy stosownie, a to także sztuka w swoim rodzaju, zawsze trzeba, ażeby jedne od drugich pięknie odbijały.

— Widzę to, widzę — odrzekł p. Adam — barwy są rzeczywiście wybornie dobrane w tym bukiecie, chociaż zapewne kierowałeś się przytem tylko instynktowem poczuciem, smakiem wrodzonym. Tu naprzykład u szczytu umieściłaś purpurową georginią w sąsiedztwie jasnych, żółtych złocieni i lazurowych blawatków. Tu znów lewkonia fioletowa obok złocistych jaskrów, pomarańczowa lilia otoczona szafirowemi ostróżkami, a wszędzie kwiaty czerwone przekładane zielenią. Tak to smak nieraz zastępuje wiadomości naukowej; panienki zwłaszcza, mające do czynienia ze strojami lalek, potem znów z włóczkami i innymi robótkami kolorowemi, wcześniej i łatwiej od chłopców zapoznają się z barwami, ich własnościami i stosunkami.

— Alboż to naprawdę barwy mają jakieś znaczenie? — zapytał Wacław — nigdy mi na myśl nie przyszło, ażeby dobieranie barw, ładnie przy sobie wyglądających, miało co wspólnego z nauką! A przecież niedarmo pewnie p. Adam powiedział przed chwilą, że w ułożeniu tego bukietu smak wrodzony zastąpił Helenę wiadomości naukowej. Pan nigdy na wiatr nic nie mówi.

— Że tego na wiatr nie powiedziałem, to pewna; mam ja tu grubą książkę naukową, która wyjaśnia obszernie ten stosunek barw pomiędzy sobą i określa ciekawe własności każdej z nich z osobna.

— A! to pewnie fizyka — zawołał Wacław — ja się uczyłem w fizyce o barwach.

— Są tam i wiadomości z fizyki, lecz książka ma tytuł odmienny, jest to „Estetyka barw”, napisał ją Henryk Struve, profesor uniwersytetu warszawskiego; z wielkim upodobaniem już po raz drugi to dzieło odczytuję.

— Estetyka... — powtórzyła Helenka — coś ja o tem słyszałam, ale nie pamiętam, co to znaczy.

— Gdy patrzysz na jakiś przedmiot piękny, doznajesz uczucia zadowolenia. Czy to będzie budynek niezwykłej piękności, czy posąg lub obraz znakomitego mistrza, czy krajobraz wspaniały, zjawisko przyrody, piękny wschód lub zachód słońca, wreszcie kwiaty o świetnych barwach, jak ten oto bukiet, zawsze widok taki sprawia patrzącemu przyjemność, chociaż rozmaite jęj bywają stopnie, od wielkiego zachwyty do nieznacznej, chwilowej uciechy. Otóż jeśli kto chce sobie zdać sprawę z tego uczucia, usiłuje wytlómaczyć, dlaczego przedmiot pewien wywiera nań takie wrażenie przyjemne, zastanawiając się, odkryje z czasem pewne prawidła, z których utworzy się określenie prawdziwego *piękna*. Zbiór takich prawideł stanowi osobną naukę estetyki. A nie tylko zmysłem wzroku odczuwamy rzeczy piękne, z upodobaniem także słuchamy muzyki, wreszcie czytamy wzniosłe twory znakomitych poetów, a nawet i piszących prozą autorów. Zawsze są pewne przyczyny, dlaczego powieść, poemat, kompozycja muzyczna, obraz, posąg, budynek, sprawia na nas wrażenie rzeczy pięknej; szukanie tych przyczyn jest przedmiotem estetyki.

— Ach, panie Adamie! — rzekła Helenka — czyż to naprawdę nie bez przyczyny czerwona georginia tak ładnie

wygląda przy zielonych liściach, a błękitny chaber przy georginii i złocieniu? I czy tę przyczynę odkryć można?

— Odkryli ją ludzie oddawna, a w książce, noszącej tytuł „Estetyki barw”, dokładnie to wszystko jest wyłożone. Jeżeliście ciekawi...

— Mój Boże! jeszcze pan o to pyta!

— O! mnie nigdy do opowiadania ochoty nie braknie, byle kto chciał słuchać. Wiecie zapewne z fizyki, którą i panienkom wykładają na pensjach, że białe światło słoneczne rozszczepia się na barwne promienie, a ztąd powstaje tęcza i wszelkie barwy na świecie. Gdy biały promień słoneczny przechodzi przez mgłę, przez chmurę, załamuje się w niej, rozpada, czyli rozszczepia na owe pojedyncze barwne promienie, bo każdy z nich odmienny, mniej lub więcej ukośny, przybiera kierunek. Czerwony promień załamuje się najmniej, fioletowy najwięcej.

— I przez pryzmat, szkiełko kańciaste, załamuje się także światło tak samo — rzekł Wacław — pokazywali nam taką tęczę na lekcji fizyki.

— Widziałam to, widziałam! — wołała Helenka — i u nas na lekcji nauczyciel pokazywał; ale i przez korek szklany, ten graniasty, także można taką malutką tęczę zrobić na ścianie.

— To dobrze — rzekł p. Adam — nie traćmyż czasu na wyjaśnienie tego zjawiska, powiem jeszcze tylko, że pomiędzy barwami tęczy odróżniają fizycy trzy główne, zasadnicze, a te są: czerwona, błękitna i żółta. Te trzy, złączone, złane razem, tworzą światło białe, inne zaś wszystkie barwy od nich pochodzą, z ich połączenia pomiędzy sobą powstają. I tak: barwa zielona jest prosto mieszaniną błękitnej z żółtą...

— Ach, prawda! — przerwał Wacław — toż ja sam nieraz z moich farb robiłem sobie śliczną zieloną, mieszając tylko błękitną *ultramarinę* z żółtą *gummi guttą*.

— Widzisz. Podobnie znów fioletowa powstaje z połączenia błękitnej barwy z czerwoną, a pomarańczowa z czerwonej i żółtej. Wszystkie odcienie, ciemniejsze i jaśniejsze, są skutkiem większej lub mniejszej ilości światła białego, bo to, co nazywamy w mowie potocznej barwą białą, jest właściwie czystem światłem, połączeniem wszystkich barw, a czarna barwa, to znów brak wszelkiej barwy, brak światła. Oko nasze tak jest utworzone, że widok białego promienia światła, łączącego w sobie wszystkie barwy, największe mu sprawia zadowolenie. Na dnie oka, na siatkówce, są drobniejsze słupki, posiadające czułość na pewne barwy, więc każda z trzech barw zasadniczych ma tam swoje osobne słupki, na nie też wyłącznie wywiera wrażenie, nie dotykając nawet innych. Jeżeli długo wpatrywać się będziemy w jedną barwę, część oka, wrażliwa na nią, doznaje znużenia i wynagradza to sobie; jak tylko odwrócimy wzrok od owej barwy, zwrócimy je na białą ścianę, biały papier, lub nawet zamkniemy oczy, zaraz zaczynają przed nami latać płatki innej barwy, całkiem odmiennie. Sprobujcie, oto macie tu krążek karmazynowy namalowany na papierze; wpatrzcie się w niego z natężeniem, ot tak, już dosyć, a teraz spojrzycie natychmiast na ten arkusz czystego papieru. No, cóż?

— Ach! widzę zupełnie takież sam krążek zielony — zawołała Helenka.

— Znam tę sztukę — mówił Wacław — popatrz na krążek pomarańczowy, a zobaczysz potem błękitny, na fioletowy, a zobaczysz żółty. To się nazywają barwy dopełniające.

— Otóż właśnie; oko szuka koniecznie światła pełnego, złożonego z trzech zasadniczych promieni, a widząc jedną tylko z tych barw przed sobą, *dopełnia* sobie reszty, słupki właściwe w siatkówce wchodzą w czynność, jak to czasem struna nietknięta odezwie się w fortepianie na odgłos pokrewnego dźwięku, ztąd widzimy barwę, która mieści w sobie dwa promienie, brakujące do pierwszego. Dopełniającą barwy czerwonej jest zielona, bo ona zawiera w sobie błękitną i żółtą; dopełniającą żółtej fioletowa mieści w sobie czerwoną

i błękitną; dopełniająca błękitnej pomarańczowa żółta i czerwona.

— Teraz już zaczynam się domyślać — mówiła Helenka — te kwiaty, co tak ładnie obok siebie wyglądają, że miło na nie patrzeć, mają barwy, z których się tworzy promień światła białego.

— Doskonale odgadłaś. Największe zadowolenie sprawia oku widok trzech zasadniczych barw, stykających się z sobą i ty właśnie umieściłaś tu w bukietcie na samym wierzchu taką zgodną i piękną trójkę: purpurową georginią, parę chabrów błękitnych i złociste, stosownie do swjej nazwy złocienie.

— Ja teraz sama wytłómaczę, dlaczego te inne kwiaty tak ładnie przy sobie wyglądają. Fioletowa lewkonia zawiera dwie barwy zasadnicze, czerwoną i błękitną, brakło jej trzeciej i oto umieściłam przy niej żółte jaskry. Ja doprawdy, panie Adamie, ani się domyślałam, że to robię według prawideł tej este..... jakże to? estetyki. Tak sobie, własnym gustem ułożyłam.

— Bo też prawidła wyprowadzono właśnie z tego wrodzonego upodobania — rzekł z uśmiechem p. Adam — ale mów dalej, moja Helenko, bardzo mi przyjemnie, że tak uważnie słuchałaś mego wyjaśnienia i jak widzę, zrozumiałaś je wybornie.

— Georginia pąsowa potrzebowała aż dwóch barw do zupełnego swego zadowolenia — mówiła Helenka — więc dałam jej zielone liście paproci, ma w nich i żółtą i błękitną. Lilia żółta, a raczej pomarańczowa, tęskniła tylko za błękitem, bo i żółtą i czerwoną już ma w sobie, więc otoczyłam ją błękitnymi chabrami. Sama sobie się dziwię, zkaąd mi się wzięła taka roztropność.

— Ja także przyznaję siostrzyczce mojej niepospolitą mądrość — odezwał się Wacław — nigdybym się na to nie zdobył, chociaż widzę teraz, że to rzecz bardzo zajmująca i radbym się jeszcze czego o tych barwach dowiedzieć.

— Na dziś już dosyć, nigdy wiadomościami naukowemi nie należy umysłu przeciążać, bo ztąd nieład powstaje. Ale jeżeli was to zajmuje, opowiem jeszcze innym razem, jak pięknie profesor Struve, autor wspomnianego wyżej dzieła, określa i objaśnia własności każdej barwy. Chociaż ludzie zazwyczaj do różnych użytków dobierają barwy według upodobania, wrodzonym smakiem się kierują, tak samo, jak Helenka w układaniu bukietu z kwiatów, sądzę jednak, że każdemu przyjemnie być musi zdawać sobie sprawę z tego, co czyni.

— O, zapewne! — wykrzyknęła Helenka — ja naprzykład z większą daleko przyjemnością patrzę teraz na ten ładny bukietek, odkiedy zrozumiałam, dlaczego tym kwiatkom tak do twarzy przy sobie. Za parę lat muszę mieć koniecznie tę książkę, terazbym jej pewnie jeszcze nie zrozumiała. Ach! jakież pan Adam dobry i kochany, że mi choć troszeczkę tych mądrości dał pokosztować.

M. J. Z.

WŚRÓD GÓR.

Wśród górskiej, wśród hali,
Rozlega się echo;
To róg gra z oddali:
Hej, ha, ha! hej że, ho!

A cała kóz trzoda
Pośród gór rozbiegła;
Ta szuka, gdzie woda,
'Ta ziółko spostrzegła.

Wtem młoda dziewczyna
Na kózki swe woła;
Bo chmura ta sina,
Nie cieszy jej zgoła.

Kozłatko gdzie jeszcze
Zginie jej wśród skały;
Zwierz złapie w swe kleszcze,
I podrze w kawały!

Huknęło coś zdala,
Pośród gór przełomu...
Ktoś ognie rozpala;
Czas wracać do domu.

Więc w róg swój dmie żywo,
Raz, drugi i trzeci...
Widzi kózkę siwą,
Za nią stadko leci.

Już zbiegła się blisko,
Cała kozłat rzesza;
Dziewczę gdzie schronisko
Wesoło pośpiesza.

I tylko wśród hali
Rozlega się echo,
I słychać z oddali:
Hej, ho, ha! hej że ho!

Z. Morawska.

Zbiór podań i legend dawnych

przez M....a

(Dokończenie).

Rzadko komu sprawdziły się tak młodociane marzenia i zamiary, jak cichym a rycerskim Belinom Taranowskim, jakby na dowód, że życie może snuć się wedle naszych chęci, jeżeli mamy je rozsądnie, wyraźnie określone i uczciwie skromne.

W kilkadziesiąt lat po owem wiosennem popołudniu, gdy to panna Waczeńska maleńka targała za czuprynę z dziecinnych figłów jedynie, niedużego Jana Taranowskiego, siedzieli oni oboje na tymże samym ganku, czerstwi, silni, zdrowi, i nawet nie siwi, chociaż dobrze już starzy. Jau Taranowski, koniuszy przemyski, rozmawiał z siedzącym naprzeciw stryjecznym Mikołajem Taranowskim księdzem, słynnym z tego, że „wszystkie *beneficia curata*, które miał dosyć znaczne, puszczał, a tylko na dochodach z ojcowizny swojej przestawając, służył się miłego Boga bawił. Był to prawy i przykładowy kapłan wieku swego”. Dalej siedzieli dwaj młodzi Taranowscy, wychowujący się w akademii krakowskiej i tylko chwilowo u rodziców bawiący, a pośrodku młody szlachcic dworzanin, przysłany z pismem i podarkami od pana brata Andrzeja Taranowskiego, siedział popijając miód z zastawionego poczęstunkiem i owemi świetnymi podarkami stołu na środku ganku, i opowiadał w krótkości wędrówki i dzieła pana Andrzeja, któremu był nieodstępny dotąd i teraz znowu do boku jego chyżo miał wracać. Natarczywie wypytywany przez rozradowaną rodzinę, dworzanin opowiadał o ile pamięć dopisywała:

— Już to pan mój co prawda z wielkiem niebezpieczeństwem zdrowia swojego do wielu postronnych królów i książąt od króla Augusta był syłan. Naprzód do króla duńskiego trzykroć w poselstwie jeździł, jednając króla duńskiego z szwedzkim, kędy wojska już sprawione ku spotkaniu rozwodził. Do Szwecyi potem jeździł, kędy był *in magno periculo* *), bo na morzu lodowatym rozerwał się z nim okręt, wielu ludzi potonęło, a on ze sługami swymi przezedł po lodzie.

*) W wielkiem niebezpieczeństwie.

Do Olszacyi potem od króla Augusta w poselstwie jeździł. Potem ztamtąd przyjechawszy z Imbreimbekiem, posłem tureckim, który był z narodu polskiego, familii Odrowąż, do Turcyi jeździł. Kędy tylko *credens* *) wzięwszy od króla, wszystko podług myśli u Selima sprawił.

Jeździł potem z Mechmet *czauszem* **) pod morze *Caspium* ***) przez hordy tatarskie do Azji, wojska tureckie wielkie odwiódł, które chciały zamek Astrachan zburzyć. Jadąc potem z onem wojskiem nazad do Grecyi przez wielkie pustynie, po kilka dni nie jadał ani pił. Ono wojsko, którego było 26 tysięcy, od głodu a pragnienia wielkiego w niwecz się obróciło, tylko dwa tysiące ich zostało żywych. On jednak zdrowo z swoimi do króla przyjechał.

Potem gdy Bogdana, wojewodę wołoskiego, r. 1572, Iwonia żegnał z gospodarstwa, był pan Andrzej Taranowski posłan w poselstwie od króla Augusta do Turcyi, przyczyniając się za Bogdanem. Wjechaliśmy w ziemię nieuspokojoną. Już jednak pan Taranowski poselstwo odprawił i wdzięcznie był przyjęty gdy znać dano, że Polacy z Bogdanem wiele Turków i Wołochów porazili na głowę. Przysłał Mechmed basza po pana Taranowskiego, pytając „co to za ludzie we Wołoszech są w ziemi pana mego? Tyś tu na zdradę przyjechał; wiedz, że ci to gardłem przyjdzie zapłacić”. Pan Taranowski skromnie pohańca ulagodził, nas wszystkich, cośmy z nim byli, roztropnością swą wyswobodził, że jakby w Polsce takiejsmy wolności używali, i hojny dostatek żywności sobie i koniom mieli. Wtem przypadło drugie nieszczęście, żeśmy jeszcze odprawy z poselstwa nie doczekali, gdy dano znać o śmierci królewskiej. Pan Taranowski dla pokój Rzeczypospolitej tak sobie mądrze postąpił, że dotąd, dopóki Polacy króla nie obrali, pokój z Turkiem ustanowił. Wszystkie państwa jego w pokoju przejechał i z tych niebezpieczeństw jako niespodziewany już gość do Polski wrócił. Jadąc, zastał wojsko gotowe u Iwoni hospodara, który chciał na Pokucie uderzyć; i temu pan Taranowski zapobiegł, tak, że Iwonia przedsięwzięciu swemu dać pokój musiał i przymierze z nim uczynił także do obrania nowego króla w Polsce.

Przyjechawszy do ojczyzny, był pan Taranowski znowu posłan od wszystkich panów do Moskwy w poselstwie do Iwana Wielkiego kniazia, i tego tak ulagodził, że gotowe wojska swe, które był nagotował na granice albo na państwo litewskie, rozpuścił, udarowawszy z uczciwością odprawił. Już też wychodziło przymierze z tureckim cesarzem, które był pan Andrzej ustanowił, a gdy Henryk król Francuz zjechał, wnet panowie, zjechawszy się do gromady, wyprawili pana Taranowskiego do Selima cesarza, żądając dalszego przymierza. Wtem Selim umarł, syn jego Amurat na jego miejsce wstąpił, u którego pan Taranowski wyjednał wszystko podług potrzeby ojczyźnie” ****) i oto teraz przybywamy na chwilę do domu.

Tak opowiadał szlachcic dworzanin o pełnem czynu i pożytku życia pana Andrzeja Taranowskiego, a rodzina z rozkoszą i dumą słuchała; starsi spoglądali na dwóch młodzieńców, a ci wdychali pocichu, myśląc, czy też i oni będą mogli i umieli podobnie zasługiwać się ojczyźnie i współbraciom?... Potem, gdy dworzanin zdrożony poszedł spocząć, zanimby w powrotną do pana puścił się drogę, gospodarstwo z księdzem Mikołajem i synkami poszli zobaczyć dojrzewającą pszenicę, a wracając zatrzymali się i spoczęli chwilę po przechadzce na zielonym wzgórku przy drożynie niedaleko bramy swego dworca. Słońce już zachodziło, złocąc wspañiale szczyty drzew, i wyniosłej bramy starożytnego dworca, i rycerski klejnot po nad nią, w którym złota ręka wzniesiona z mieczem zdawała się wznosić jak żywa na obronę kraju.

— Ach!... bracie Janie — zawołał nagle ksiądz Mikołaj. — Czy też pamiętasz podobny temu wieczór przed kilku

dziesięciu laty, gdyśmy we trzech swawoląc, tarzali się w tem samym miejscu uplątani w cugle?

— Wtedy, kiedy to pannie Waczewskiej, na rękę niańki będącej, służyliśmy, we trzech za konie, a ona poganiała nas biczem trzy razy większym od samej siebie, potem jeszcze mnie wytargała za włosy?... pamiętam! — wesoło powiedział pan Jan, udając, że nie widzi znaków, które zawstydzona żona dawała mu, aby milczał przy dzieciach.

— Patrzaj! to pani matka na rękach niańki już taka swawolnica była!... — szeptali jeden do drugiego młodzi Taranowscy, uśmiechając się.

— A pamiętasz, jak to my z Andrzejem o odświeżeniu klejnotu naszego mówili i jak on mówił o tem z panem ojcem później?

— A wiesz jegomość — Jan zawoła — że Andrzejowi udało się uczynić to, co zamierzał!... bo odświeżył on klejnot nasz w pamięci Rzeczypospolitej i wznowił zasługi Żelysława!...

— Tak! nie pendzikiem ani dółkiem, ano trwałej daleko, odnowił pan brat Andrzej herb Beliny! — z wesołym uśmiechem potwierdził ksiądz Mikołaj.

I cała Rzeczpospolita potwierdziła tę prawdę. Pan Andrzej Taranowski Bóg wie jeszcze jakich czynów na korzyść kraju nie dokazał. „W Tatarszczyzny dalekie z wielkiem niebezpieczeństwem jeździł, mając poczet sług i sąsiadów przy sobie niemały, w wielkiej gawiedzi onej pogańskiej przechodząc potrzeby z nimi znaczne fortunnie miewał i płyny odgromiał. Za króla Stefana też w posługach znacznych bywał, o czem historya pisze. Miał też w Warszawie na sejmie przez wdzięczność za przyczyną wszystkich panów i posłów ziemskich dane sobie opatrzenie, Bratkowice w sandomierskiem województwie, z przyległościami, na których mu do stu lat wybierać dziesięć tysięcy zlecono.”

NA WAKACYACH.

W pięknej i dobrze zagospodarowanej wsi Wierzchy, położonej w obrębie królestwa polskiego, mieszkali państwo Wierzchowscy, bardzo gościnni i zaccni ludzie. Pan Bóg obdarzył ich śliczną i miłą córeczką Terenią, a dla towarzystwa jej w czasie świąt i wakacyj lubili się otaczać gromadką przywiązanych siostrzenic i siostrzeńców, przyjmowanych zawsze serdecznie przez dobrych i pobłażliwych wujostwa.

Roku 188... w Lipcu Terenia skończyła lat ośm i właśnie wyglądała z upragnieniem przyjazdu swych krewnych, spodziewając się różnego rodzaju przyjemności w ich towarzystwie. Marzyła o przejażdżkach wózkami i kucykami, o ulubionej żegludze łódką po ogromnym stawie, tak w dzień jak i wieczorem, o wycieczkach do lasu i t. p.

Nadszedł wreszcie zapowiedziany dzień przybycia cici Balbisi wraz z młodymi gośćmi, którzy zaludnili i ożywili wszystkie kąty tak cichego zwykle Wierzchowskiego dworu. Nie zawiodła się w swych oczekiwaniach mała Terenia.

Rodzice jej starali się o rozrywki dla dzieci, spragnionych swobody po całorocznej szkolnej pracy. W piękne dni słoneczne, o wczesnej godzinie, pod opieką wujaszka lub cici i w towarzystwie Juleczki, dorastającej panienki, cała gromada młodych wybierała się do lasu na poziomki, jagody i grzyby. Wicusz, czternastoletni chłopczyk, przewodził zawsze swemu młodszemu rodzeństwu, zręczny i śmiały, a przytem trochę samowolny, namawiał Romusia, Kocia i Klarcie do różnych wybryków, co wywoływało często niezadowolenie i napomnienia opiekunów. Wycieczki te trwały zwykle parę godzin. Pod wieczór znowu łódź oczekiwała młodych żeglarzy; kierowana przez Wicusia i starego ogrodnika Mateusza, mknęła szybko po szklanej powierzchni stawu, lub przerzynała się wśród wodnych roślin.

Działo się to w sobotę, słońce, złocąc blademi promieniami drzewa i kwiaty, spuszczało się ku zachodowi; na sta-

*) *Credens*, wierzytelne listy, pełnomocnictwo.

**) *Czauusz* posłaniec turecki.

***) Kaspjjskie.

****) Paprocki Bartosz.

wie płynęła właśnie łódź, wiosłował tym razem sam Wicus, dopomagali mu chwilami Romuś i Kocio, a mała siostrzyczka Klarcia, chwyciła wodne kwiatki i roślinki w przejeździe.

— Zobaczysz Wicusiu — odezwał się Romuś — że wujostwo i ciocia gniewać się będą na ciebie, wszak pozwolili

— Tchórze jesteście, nędzni tchórze — wybuchnął czu-
purny Wicus — nie będą się gniewali, mnie tylko słuchajcie,
a nie pożałujecie. Cóżto, niewolno nam nawet w czasie wa-
kacyj podokazywać? I tak musimy zawsze starszych słuchać,
to mi się już sprzyrzył!



Wśród gór.

nam tylko bawić się nad stawem, a ty namówiłeś Klarcie i nas na przejażdżkę.

Na te słowa, mała dziewczynka obejrzała się i zawołała:

— Tak daleko jesteśmy od brzegu, jeszcze utoniemy, a nikogo niema, ja się boję, Wiciu.

— Wróćmy się, wróćmy — prosił Kocio.

— Ach! Wicku! — przeczył Kocio — nie mów tak, to źle, ciocia nasza się zmartwi.

— Ciocia, co mi tam ciocia! Na mazgajów nas chowa, musimy jej pokazać, co umiemy!...

Mówiąc to nierozważny chłopiec, który powinien był raczej namawiać rodzeństwo do dobrego, wstał, poszedł ku końcowi łódki i wyprostował się zuchowato. W tej właśnie

chwili spostrzegł w oddali wolno posuwającego się jeźdźca. To wuj! pomyślał, a trwoga chwilowa go ogarnęła; nic nie mówiąc, zwrócił gwałtownie łódź do brzegu. Dzieci zdziwione tym niespodzianym zwrotem, wołały:

— W trzcinę wjedziesz! Co robisz, uważaj, Wiciu, wszak przystań jest z innej strony!

Zniecierpliwiony chłopak ostro przemówił do nich:

— Cicho bądźcie, wuj jedzie, czyżbyście chciały, by was na stawie zobaczył? Spuście się na mnie.

Nastraszywszy w ten sposób dzieci, przez niego do tej przejażdżki namówione, pewny już był, że go słuchać będą. Tymczasem łódź posuwała się szybko, Wicus wiosłował milcząc, niezadowolony z okazanej przed dziećmi obawy, zadumał się, lecz w miarę przybliżania się do brzegu, rozjaśnił zachmurzone czoło. Widok strwożonych dzieci rozbudził w nim dawną śmiałość, dla odzyskania przewagi nad nimi pragnął zaimponować im niezwykłym figlem. Zajęty jedynie nową jakąś myślą, żwawo kierował łodzią i powtarzał sobie w duchu:

— Nikt na nas nie zwraca uwagi, wujenka i ciocia wraz z zakatarzoną Terenią w domu pozostały, Juleczka, przemądra panna siostra, w innej części ogrodu, a wuj, no wuj! pewno bardzo się przerazi ani też nie pogniewa.

Łódka przybiła do brzegu, dzieci za przykładem Wicusia powyskakiwały na brzeg, co się odbywało z mniejszym lub większym nóg zamoczeniem.

— Czekajcie na mnie w szpalerze! — zakomenderował Wicio, a rodzeństwo jego potulnie usłuchało rozkazu, on zaś pozostał chwilę nad stawem, szybko odepchnął łódź od brzegu, rzucił na wodę wiosło, czapkę swoją i zostawiony przez zapomnienie kapelusz Klarci.

— No, tak będzie dobrze — rzekł, spojrzawszy na swe dzieło i pobiegł połączyć się z dziećmi.

Wkrótce dał się słyszeć tętent konia, p. Wierzchowski wracał; rzucił okiem na staw, wstrzymał wierzchowca, zastanowiwszy się czas jakiś, skręcił w aleję, okalającą wodę, pędził szybko, znów przystanął, zaniepokoił go bowiem przedmioty na wodzie pływające, szczególnie czapka i kapelusz.

— Cóż to znaczy? — zawołał i galopem popędził ku dworowi, spodziewając się objaśnienia ztamtąd. Zeskoczył z konia, wbiegł do pokoju żony, zajętej właśnie swoją Terenią.

— Gdzie dzieci? — zapytał — gdzie reszta dzieci?

— W ogrodzie — odpowiedziała spokojnie pani Wierzchowska.

— Wcale nie — zaprzeczył żywo jej mąż — łódź próżną widziałem, czapki pływają po stawie, może stało się niebezpieczeństwo jakie.

— Nie może być — mówiła żona wstając — wszakże ogrodnik musiałby im towarzyszyć w przejażdżce, wreszcie usłyszałbyśmy krzyk. Lecz chodźmy, chodźmy coprędzej! — powtarzała z wrastającym niepokojem.

Dwór w jednej chwili opustoszał; wszyscy, począwszy od państwa aż do służby, rozbiegli się na poszukiwanie dzieci. Ciocia Balbisia z załamanymi rękami stała nad stawem, do rozpacy doprowadzał ją widok spokojnej jak zawsze tafli wody i kołyszącej się powoli pustej łodzi.

Zostawmy teraz na chwilę lamentującą ciotkę i niespokojnych mieszkańców wierzchowskiego dworu, a wróćmy do dzieci. Wicus połączył się z niecierpliwie oczekującymi go dziećmi w szpalerze.

— Nikt nas nie widział — mówił — chodźcie tylko za mną i zachowujcie się spokojnie, uśmiejemy się, zobaczycie!

— Cóż to będzie? — pytały nieświadome jego projektów dzieci.

W ten sposób dalej rozmawiając, dostały się cienistemi alejami poza dwór, z kąd można było wejść tylnymi drzwiami do domu. Tu Wicus kazał im się zatrzymać i w kilku słowach przedstawił, jaki alarm wywoła w całym domu ten figiel, jak zabawnie będzie wyglądała bieranina, poszukiwania, nawoływania i jak oni potem raptem wyskoczą z kry-

jówki, wywołując śmiechy ogólne. Dzieci nie rozumiały na razie niedorzeczności figla, który im się wydał pomysłem zabawnym, jakby grą w chowanego. Gdy więc usłyszały naprawdę ruch, bieganie, nawoływanie, wsunęły się ostrożnie do sieni, prowadzone przez Wicusia, a ztamtąd po schodach do gościnnych pokojów.

— No, teraz już jesteśmy bezpieczni — zawołał z tryumfem dowódca młodszego rodzeństwa — niech nas szukają, zobaczymy, czy znajdują!

Od czasu do czasu dzieci odzywały się z różnemi uwagami, robiły przypuszczenia, dopytywały się Wicusia, jak i co na wodzie pozostawił i t. p. Gdy jednak czas upływał, a cisza zaległa dwór, zaczęły się powoli przyznawać do pewnego znużenia i zniechęcenia, figiel Wicusia mniej im się zaczął podobać, rozmyślały nawet nad następstwami, to jest naganą, a może karą, jaka ich spotkać może. Przymusowe spokojne siedzenie, ciekawość, co zaszło nad stawem, przytem głód (była to bowiem godzina kolacji), przyczyniały się do coraz większego niezadowolnienia ze strony dzieci i do szemrania przeciwko narzuconemu wodzowi. Wicio początkowo nadrabiał miną, lecz i jemu się przykrzyło, tylko duma fałszywa nie pozwalała przyznać się do tego; perswadował też dzieciom o ile umiał, nic to nie pomagało i rad nie rad, zwyciężony namowami swych dotychczasowych poddanych, obiecał zejść wkrótce do ogrodu.

Słońce już dawno schowało się po za obłoki, mrok zapadał, gwiazdy nawet nieśmiało wychylały się na niebie, uroczysta cisza nocna ogarniała przyrodę. Wicio w złym humorze spoglądał przez okno, widział, jak z początku biegali tu i owdzie, szukając zbiegów, jak następnie spotkali się wszyscy nad wodą a między niemi rozprawił stary Mateusz. Po tej rozmowie zauważył znaczne uspokojenie.

— Musiał nas Mateusz podpatrzeć — wnioskował Wicus — oj! niedobry, wydał pewnie wszystko.

Rzeczywiście stary ogrodnik powiedział zaraz:

— Nic nie widziałem ani słyszałem, ale wielmożni państwo mogą być zupełnie spokojni, nic się robaczkom nie stało, figiel to tego swawolnego panicza Wicusia, schowali się gdziekolwiek i sami przyjdą niedługo. Szkoda ładnych oczek panienki — zwrócił się stary do płaczącej Tereni — gdyby się topili, toby krzyczeli, wszak w wodę to nie jak pod pierzynę.

Przemowa Mateusza trafiła wszystkim do przekonania, przeszukali jeszcze cały ogród i wrócili do domu. W tej właśnie chwili zawstydzona swym postępkami gromadka dzieci zbiegła po schodach i napotkała pierwszą ciotkę Balbisie.

— Ach! jesteście, dzieci moje, kochanki moje! — zawołała, zapominając o gniewie i przygotowanej naganie — gdzieżecie się chowały, czyż godzi się martwić tak starą ciotkę?

Terenia również rzuciła się na szyję Klarci, mówiąc z płaczem:

— Tak się bałam, myślałam, żeście się potopili. Jakże się cieszę, że was widzę. Tak zimno na dworze, dostanę jeszcze większego kataru, chodźmy do domu.

Wszyscy udali się do dworu, po chwili nadeszli wujostwo, witając zawstydzone dzieci. Wujaszek, zawsze tak dobry, tym razem surowo przemówił do małych zbytników:

— Nie spodziewałem się po was rozmyślniejszej do kuczenia nam; czyż nie wiedzieliście o tem, że sprawicie nam wiele zmartwienia i niepokojów? Posłałem ludzi po łódkę i czapki wasze, któż to namówił was do rzucenia ich na wodę? Patrzcie, jak zapłakana jest biedna Terenia i ciocia Balbisia, czyż nie odgadujecie, ile niepokojów one przeszły? surowo winniście być ukarane za to. Nielolno wam będzie do końca wakacji pływać łódką.

Biedni Romuś, Kocio i Klarcia, uznając słuszność wyrzutów wuja, przyjęli cicho wyrok jego. Lecz Wicus, choć swawolny, szlachetny jednak w gruncie chłopiec, nie mógł znieść widoku za jego jedynie winę karanych dzieci. Poszedł ze spuszczonei oczami do pana Wierzchowskiego, ucałował rękę jego i rzekł:

— To ja, drogi wuju, powinienem za wszystkich karę otrzymać. Skłoniłem ich do złego, nazywając figłem to, co jak teraz widzę było złym postępkim. Przrzekam nigdy nic takiego nie zrobić i proszę o darowanie dzieciom tego przewinienia.

Widząc szczerą skruchę Wicusia, ciocia, wujenka, Terenia i Juleczka prosić za nim zaczęły. Im to zawdzięczał Wicio przebaczenie zagniewanego wuja i zupełne zapomnienie winy.

J.

GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Zgroza niewypowiedziana ogarnęła Kuanów na samą myśl, że nowa kobieta srebrna, a do tego chrześcijanka, chciała zrzucić z tronu sułtana Ahmadu, zagarnąć państwo Massiny i sułtanką zostać. Cóż dziwnego, że pod wpływem tych uczuć krzyčeli w niebogłoso:

— Niech zginie zdrajca, przeniwierca, szejk Achmet El Bakai ben el Moktar! Niech zginie wspólnik jego timbuktoji! Niech zginie kobieta srebrna i wszyscy chrześcijanie.

Położenie nasze było okropne, gdy oto na szczęście dzielny Feredżi Eg Auab ocknął się nagle ze swego uśpienia, przypasał miecz zwycięzki, przywdział zawój z wojskowym hełmem i na koń wskoczył. Ów hełm, o którym nie wspominałem podobno jeszcze, miał kształt wysokiego walca, zrobiony był ze skóry słoniowej, w ogniu hartowanej. Na szczycie tej wieży siedział ptak wspaniały, wcale nie wyrób sztuczny, ani też ptak wypchany, lecz żywy, oczywiście oswojony i umyślnie przysposobiony do tego piękny sokół błękitny, przez krajowców zwany „serdi” w terminologii naukowej *nisus gymnogenys*.

Tak ustrojony, młody wódz wyglądał przepyszenie. Przy nim po lewej stronie jechał chorąży, niosący okazały sztandar „alam” z bogatej tkaniny, pokryty symbolicznymi figurami zwierząt i ptaków na tle złocistym, czerwonym i czarnym. Cały oddział Tademeketów na dzielnych koniach uszykował się ścięsnionym szeregiem przy bramie ogrodowej, do której się dobijali Kuanowie.

Pod gwałtownymi ciosami siekier i młotów brama ta wkrótce pękła i tłuszcza wpadła do ogrodu. Rozpoczęła się walka, niedługo trwająca. Tademeketowie rąbali straszliwie długimi swojemi pałaszami, a gdy kilku najuchwalniejszych Kuanów padło, brocząc we krwi, reszta poczęła się cofać w popłochu. Stary Bu-Szkara stał na szczycie minaretu Sankore i ztamtąd usiłował niesfornym swym bandom dodać ducha, obiecując łaskę Allacha i Proroka, niebardzo to jednak skutkowało, napastnicy uciekali w najlepsze.

Bu-Szkara ręce łamał w rozpacz, nie schodził z minaretu i w złości bezsilnej, zamiast błogosławieństw, zaczął przekleństwa sypać na głowy tchórzów, hańbiących wiarę Proroka. A wtem wódz Auab gwizdnął w sposób szczególny, sokół, siedzący na hełmie jego, rozwinął skrzydła, wznosił się w górę i pofrunął w stronę minaretu. Z okien naszego mieszkania widzieliśmy doskonale cały przebieg walki, a teraz z ciekawością śledziliśmy poruszenia ptaka. Krążył on przez czas jakiś ponad wieżycą, potem nagle spadł na głowę żebraka i w jednej chwili wydziobał mu oczy. Potem najspokojniej powrócił na dawne miejsce i na hełmie znowu się usadowił.

Jakkolwiek stary ten hultaj chciał nas życia pozbawić i wcale na litość nie zasługiwał, widok ten jednak przejął nas dreszczem przerażenia. Ciocia Gudula o mało spazmów nie dostała, p. Katarzynie wyrwał się okrzyk żałosny, który natychmiast powstrzymała. Nie wiem, co się stało z wro-

giem naszym, ale musiał stracić ochotę do dalszych oratorskich popisów.

Zwycięstwo było zanadto łatwe, to też nie ludziliśmy się tem wcale, aby miało być ostateczne. Wkrótce w rzeczy samej ukazały się świeże zastępy napastników, a tym razem prowadził je Faam, nowomianowany szejk. Kuanowie walczyli mężnie, włócznie ich, siekiry i kije żelazem okute skutecznie odpierały potężne miecze Tademeketów, zanosilo się na dłuższą walkę; my wszyscy byliśmy pod bronią, dotychczas żaden wystrzał się nie odezwał, dopiero gdyby się udało Kuanom podejść bliżej pod okna zaui, mieliśmy ich powitać kulami z naszych wybornych dubeltówek.

Nie przyszło jednak do tego i tym razem Auab ze swoimi dzielnymi Tademeketami rozstrzygnął losy bitwy. Gdy spostrzegł, że Kuanowie wytrwale, chociaż powoli, przepychają się coraz dalej przez ścięsnione szeregi jeźdźców i zaścieniając drogę trupami swoich, niejednego także i Tademeketa obalili już z konia, dał znak przybocznemu wojownikowi, ajdutantowi swemu. Ujrzeliśmy z podziwieniem jak jeźdźcy rozstępować się poczęli na dwie strony, pozostawiając przejście wolne po środku. Jednocześnie z głębi parku, gdzie obozowała służba młodego wodza z jego końmi i myśliwskimi przyborami, dały się słyszeć dziwne jakieś odgłosy, skomlenie, miauczenie, piski. I wnet ukazał się wielki łowczy Auaba w świetnym stroju, a za nim niższa służba wiodła sfory przepysznych, ogromnych ogarów, dalej szły ułożone do łowów gepardy, wreszcie rysie, dzikie koty, zwane „sumola” przez krajowców.

Zwierzęta, spuszczone ze smyczy, z szybkością strzały pomknęły pomiędzy dwoma szeregami jeźdźców i skomlać, szcękając, piszcząc rzuciły się na Kuanów, nieprzygotowanych do takiej walki. Powstał zamęt nie do opisanego, Faam z odwagą godną lepszej sprawy zaczął przerażonych swoich Kuanów nawoływać, a dając dobry przykład, wywijał śmiało włócznią i na krok nie ustępował. Zle na tem wyszedł nie-szczęśliwy emir, drapieżne koty skakały mu wściekle do gardła, w końcu zwały się na ziemię i rozszarpały.

Bitwa zakończyła się tym sposobem, tłumy bez przywódcy rozproszyły się natychmiast na wszystkie strony, po śmierci Faama mogliśmy być spokojni, w całym Timbaktu nie było już teraz nikogo, kto by potrafił stanąć na czele powstania. Mokadem umiał tylko rozkazy wydawać i knuć spiski, sam nie miał wojowniczego ducha. Lecz Kuanowie pomścili swego wodza, jeszcze nie ochłonęliśmy z przerażenia, gdy nagle słup dymu buchnął z dachu zaui, a po chwili część przez nas zamieszkała już była w płomieniach. Zapewne podczas zamieszania bitwy któryś z napastników zakradł się bliżej do zabudowań i ogień podłożył.

O gaszeniu pożaru nie było co i myśleć, trzeba było uciekać z duszą naknajprędzej. Barbusza chwycił na ręce zemdloną p. Gudulę, wujaszek Bak z pomocą Karola wynosił swoje zielniki, ja zaś podałem ramię p. Katarzynie, która nie straciła głowy i spokojnie wyszła na podwórze. Zastaliśmy tam szejka Achmeta, timbuktojoja i wodza Auaba. Szepnętem do ucha p. Katarzynie, że gdyby ten dzielny wódz nie był nas ratował z taką energią, bylibyśmy niezawodnie zgubieni. Paniienka przystąpiła do młodego Afrykanina, wyciągnęła do niego rękę i rzekła:

— Szlachetny wodzu Feredżi eg Auabie, przyjmij najserdeczniejsze podziękowanie moje, uratowałeś nam wszystkim życie, winniśmy ci dozgonną wdzięczność.

Nieustraszony wódz Auab zaledwie końcami palców ośmielił się dotknąć pięknej rączki, spostrzegłem, że drżał, jak listek.

XVII.

Reduta żyjąca.

Zamieszki wewnętrzne były pokonane, nagłace niebezpieczeństwo minęło, lecz nie pozbyliśmy się jeszcze wszelkich kłopotów i nie mogliśmy się puścić w dalszą podróż. Nie-

przyjaciel zagrażał zawsze miastu, Auelimidenowie, prowadzeni przez Anglików, opasywali je dokoła, chociaż z daleka jeszcze, jakby żelazną obręczą.

Odetchnąwszy nieco po odparciu Kuanów, wielkorządca nasz zaczął myśleć o środkach obrony przeciw zbliżającej się armii nieprzyjacielskiej. Wezwał do narady wodza Fulanów Imestana, a raczój Edgara Voosta i w te słowa przemówił do niego:

— Ponieważ przekonałem się, że pan nie jesteś zdrajcą, więc zechcesz zapewne zatrzeć wspomnienie doznanej porażki. Wiedząc, z kim mam do czynienia, nie będę panu przypominał posłuszeństwa, które mi się należy od wszystkich, jako głównodowodzącemu, bo sam pan znasz obowiązki karności wojskowej. Spodziewam się, że odtąd zawsze będziemy w zgodzie.

— Będziesz pan niezawodnie zadowolony ze mnie — odpowiedział młodzieniec, ściskając podaną sobie dłoń z wielką serdecznością — wszak mam dla pana obowiązki wdzięczności, nie mogę przecież zapomnieć, panie gubernatorze, że mi darowałaś życie. Najgorętszem pragnieniem mojem jest naprawić szaloną nieroztropność, którą popełniłem.

Od tej chwili obaj młodzi ludzie nie rozłączali się prawie, układając plany wojenne. Saduktu czyli Henryk Voost był jeszcze ciężko chory, chociaż wyszedł z niebezpieczeństwa, musiał też pozostać bezczynnym, nie skarżył się jednak na to wcale, nie miał usposobienia wojowniczego, troskliwe starania cioci Guduli i p. Katarzyny sprawiały mu rozkosz niewypowiedzianą. Ciągłe też namawiał kuzynkę, aby zaniechała dalszych wędrówek i powracała do Europy, miał bowiem zamiar nie rozstawać się z nią i wszędzie jęj towarzyszyć.

(d. c. n.)

ZAGADKA ZGŁOSKOWA.

(Od Gołąbki Pocztovej dla Sarenki z nad Moroczu).

Z pięciu części się składam, a każda z osobna
Ma na świecie znaczenie, jakkolwiek tak drobna;
Pierwsza zawsze jest w polu, a nigdy na łące,
Druga z sierpem jest w zgodzie, a z kosą w rozłące,
Trzecia lasu się trzyma, choć nie zna jęj drzewo,
W prawo zwraca się zawsze, ale nigdy w lewo;
Czwartą w ciszy znajdziecie, i w nocy, i w cieniu,
Rzecz dziwna! choć jest w słońcu, niema jęj w promieniu;
Piątą wreszcie od trzeciej nie różni się wcale,
Gdzie *trzecia*, tam i *piątą* przebywa wciąż stale.
A teraz, znając części, zechcecie z kolei,
Bym wam się przedstawiła także i w całości;
Lecz ja zwracam się do was w tęg błogięj nadziei,
Ze mnie znacie dokładnie, pełniąc powinności,
Które Bóg ustanowił przed wiecznym rozkazem,
Bo wszak tych powinności ja jestem obrazem.
O, miłujcie mnie tylko, a szczęście znajdziecie,
Ja jedna daję szczęście prawdziwe na świecie.

Łamigłówka arytmetyczna.

(Od Perpetuum mobile dla Alchemika).



Na miejscu kropek wypisać liczby od 1 do 17, ażeby od środka do końca każdego promienia liczby dodane wynosiły sumę 20.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go

Zadania alchemicznego:

P O Ł Ó W
O Ł Ó W
Ł Ó W
Ó W
W

Łamigłówki zgłoskowej:

WaWel
KrEwo
WaRna
BaNat
ChIos
FoCea

MARYA MATUSZEWSKA,

PRZEŁOŻONA PENSYI ŻEŃSKIEJ

przy ulicy **Leszno № 28** w Warszawie zawiadamia, że przyjmuje uczennice przychodnie i pensyonarki na warunkach przystępnych.

DO WSZYSTKICH.

Prosiliśmy po wiele razy i znowu najusilniej prosimy czytelników naszych, aby przy żądaniu przesłania zatraczonych N-rów Pisma lub innych przesyłek, nie zapominali wypisać w liście nazwisko swoje prawdziwe i adres dokładny. Uprzedzamy, że żądania podobne, pseudonymami tylko podpisane, uwzględnione być nie mogą, gdyż wynajdowanie nazwisk i adresów zadużo kłopotu przyczynia administracji Pisma.

Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Pracownia pana Adama, pogadanka naukowa p. M. J. Z. — Wśród gór, wiersz p. Z. Morawską (z drzew.) — Zbiór podań i legend dawnych, p. M...a. — Na wakacjach p. J. — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. **Dodatek:** Maniusia na wsi, p. Ciocię Janię (z drzew.). — Dumna wiewióreczka p. M. Z. — Wielkie zdolności, powiastka z prawdziwego zdarzenia p. Z. Morawską. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów, p. Michalinę Zielińską.



MANIUSIA NA WSI.

Szczęśliwe dzieci, co na wsi mieszkają, codziennie biegają po ogrodzie, chodzą do lasu na jagody i grzyby, zrywają kwiatki na łące, gonią motylki, nie rozumieją nawet, jak to smutno latem w mieście. Tam w najpiękniejszą pogodę trzeba często siedzieć w ciasnym dusznym pokoju, bo wszyscy zajęci, nikt nie ma czasu pójść z dziećmi na przechadzkę. A jeżeli się i pójdzie do Saskiego ogrodu, to także niewielka przyjemność; kurz, tłok, biegać nie można, żeby kogo nie potrącić, piłkę rzucać trzeba ostrożnie, bo nużby uderzyła znów kogo, broń boże zerwać kwiatka, trawki, gałązki, nawet i deptać po murawach niewolno.

Cóż to za radość dla tych biednych dzieci miejskich, gdy na kilka tygodni przynajmniej latem mogą się dostać na wieś. Mała Manusia mieszkała w Warszawie, a mama jej nie miała nikogo znajomego na wsi, więc dziewczynka nigdy w życiu nie wyjeżdżała z miasta. Wyobraźcie sobie, jak się ucieszyła, gdy dnia pewnego mama jej powiedziała:

— Maniusiu, pojedziemy na wieś na dwa miesiące, będziesz biegała po ślicznych łąkach zielonych, gdzie wolno kwiateczki zrywać, pójdiesz do lasu, znajdziesz w trawce wyborne jagódki czerwone, posłyszysz, jak słowiki, skowronki śpiewają, obaczysz mnóstwo kolorowych, ślicznych motylków.

Manusia z początku myślała, że mama żartuje, ona takiego szczęścia się nie spodziewała, z wielkiego podziwienia nie mogła słowa przemówić, dużemi, szeroko rozwartemi oczkami wpatrywała się w mamę, podobno nawet i buzię otworzyła. Mama rozśmiała się, uściskała córeczkę i mówiła dalej:

— Ta panienska, której ja daję lekcje muzyki, co tu kiedyś przychodziła i przyniosła ci cukierków, wyjeżdża na całe lato na wieś ze swoją mamą i taka jest dobra, że nas chce z sobą zabrać.

Mama Maniusi była wdową i dawała lekcje muzyki, bo musiała zarabiać na utrzymanie siebie i córeczki, otóż jedna uczennica, która ją pokochała bardzo, sprawiła jej i Maniusi taką wielką radość. W parę dni później zajechała przed dom dorożka, Manusia wsiadła do niej z mamą i zaczęły się uciechy jedna po drugiej. Najpierw tedy przyjechały na dworzec kolei, tu wszystko naszą dziewczynkę bawiło; mnóstwo osób wchodziło do sali, wychodziło, wszyscy nieśli pakunki, torebki, tragarze biegali, wołali, ruch, gwar był wszędzie, wreszcie gwizdnęła przeraźliwie lokomotywa, mama z Manusią śpiesznie szła za innymi osobami, konduktor wsadził je do wagonu, znowu gwizd dał się słyszeć i z hukiem, szumem, pociąg ruszył w drogę.

Manusia była jakby odurzona, stanęła w oknie wagonu i patrzyła, a wszystko, co migało jej przed oczyma, wydawało jej się prześliczne i takie dziwne! Wietrzne młyny, co tak machają ogromnymi skrzydłami, domki droźników, ogródki, trzody na pastwiskach, robotnicy na polach, ludzie, zwierzęta, budynki, wszystko to uciekało przedziwnie, przedziwnie i znikało. Ale mama wytłumaczyła Maniusi, że to wagony biegły takim pędem, a nic nie uciekało przed nimi, tak się zdawało tylko.

Nakoniec dziewczynka, znużona patrzeniem, zaczęła poziewać i zasnęła na kolanach mamy. Musiała spać długo, bo zbudziła się dopiero, gdy mama zawołała, dotykając ostrożnie jej twarzyczki:

— Wstawaj, Maniusiu, jużemy przyjechali.

— Co, przyjechaliśmy na wieś, naprawdę? — zawołała Manusia na cały głos, aż dwie panie, jadące w tym samym wagonie, śmiać się zaczęły.

— Jeszcze nie na wieś, tylko na stacyą — odpowiedziała Mama — ztąd pojedziemy powozem.

Wysiadły z wagonu, mama odebrała pakunki, potem dalej pojechały ładnym powozikiem odkrytym, który czekał tu na nie. Teraz Manusia cieszyła się jeszcze więcej, bo widziała coraz piękniejsze rzeczy po drodze. Mama jej pokazywała wszystko i tłumaczyła:

— Patrz — mówiła — to las, tam pewnie będziemy chodziły na jagody z Janinką, tą dobrą panienską, co nas zaprosiła. A to rzeczka, tu muszą łowić ryby i raki na zupę rakową. To łąka, widzisz, krówki, owieczki się pasą, trawkę zajadają; a to zboże, pszenica, żyto, tu pojedziemy zobaczyć żniwo.

Powozik wjechał wkrótce w duży dziedziniec, wcale nie taki, jak podwórko warszawskie; pośrodku był klomb, ślicznymi kwiatami zasadzony, a na ganku, na ławeczce, pod werandą, zielonem winem osłoniętą, siedziała Janinka i jej mama. Dobra Janinka zaraz wzięła Manusię pod swoją opiekę, zaprowadziła ją do ogrodu, powiedziała, że będzie mogła tam biegać i bawić się od rana do wieczora.

Potem dano podwieczorek w altanie ogrodowej, wyborny podwieczorek, były kurczęta pieczone z sałatą, poziomki, maliny ze śmietanką, z cukrem i różne inne przysmaki. Manusia bawiła się doskonale w ogrodzie, bo też co tam było ciekawych rzeczy! Janinka pokaza-

ła jęj naprzykład, jak to jabłuszka i gruszki na drzewach rosna, a maliny na niskich krzakach; ona tego nigdy w życiu nie widziała i wydziwić się nie mogła.

Nazajutrz obaczyła Manusia inne osobliwości, kurki, kurczątko, kaczkę, gąski, indyki, Janinka dała jęj ziarna i nauczyła, jak ma je sypać ptakom. Poszły także do krów, cielątek, dziewczyna folwarczna doła krowy i dała Maniasi filiżankę świeżuteńkiego, ciepłego mleka. Dziewczynka była uszczęśliwiona, a mama cieszyła się szczęściem swojej córeczki.

Po dwóch dniach już Manusia tak się ośmieliła i przyzwyczała, że sama chodziła sobie po całym ogrodzie, Janinka i Mama pozwoliły, bo nie było tam żadnego niebezpieczeństwa. Czasem dziewczynka wędrowała i na dziedziniec folwarczny, przypatrywała się kurkom, indykom, wszystko jęj się wydawało prześliczne, nawet prosiątka, które byłyby może i ładne, żeby się tak strasznie nie walały w błocie.

Pewnego dnia Manusia zapuściła się w swojej wędrowce dalej niż zwykle, wyszła aż za dziedziniec folwarczny, na małą łączkę. Zwykle tam pasły się gąski i prosiaczki, ale tym razem niewiadomo zkad wzięła się krowa. Manusia nastraszyła się trochę, gdy krowka zaryczała głośno i szła prosto do niej. Ale pomyślała sobie zaraz, że krowka przecież nie może się na nią gniewać, bo ona jęj nic złego nie zrobiła. Krowki lubią trawkę i kwiateczki jedzą także, więc dziewczynka, chcąc grzeczność zrobić krowce, zerwała ładny żółty kwiateczek i śmiało wyciągnęła rączkę, podając jęj ten kwiatek.

Krowka poznała się widocznie na grzeczności dziewczynki, znowu zaryczała: „Muuu!” ale ciszej i łagodniej, wzięła w pysk podany kwiateczek i odeszła dalej poszukać więcej paszy, bo tem się nie najadła. A Manusia wróciła do ogrodu i opowiedziała mamie spotkanie swoje z krowką. Niejedna inna dziewczynka na jęj miejscu byłaby się nastraszyła i narobiła krzyku, a tem byłaby przeraziła bez potrzeby mamę i wszystkich w domu.

Mama jednakże zakazała odtąd Maniasi wychodzić z ogrodu samęj, bo chociaż dobrze jest być odważną, nie trzeba narażać się na niebezpieczeństwo bez potrzeby. Nie wszystkie krowki są takie łagodne i grzeczne dla dziewczynek, inna mogłaby ją poczęstować rogami. Manusia usłuchała Mamy i przez kilka tygodni jeszcze używała na wsi wszelkich rozkoszy.

Ciocia Jania.

DUMNA WIEWIÓRECZKA.

Wiewióreczka skoczek,
I krzykalska sroczek,
Spotkawszy się w boru
Pewnego wieczoru,
Gdy już spać iść miały,
Raz się zagadały:
— Gdy orzeszków zbiorę
Na zimową porę
Porządne zapasy,

Zwiedzać będę lasy,
Wiewiórka powiada,
— Lecz rada nie rada
Wprzód pracować muszę.
— A ja się nie ruszę
Do nijakiej pracy!
Od tego my ptacy,
Jesteśmy na świecie,
By w zimę i w lecie
Bez pracy żyć świetnie;
Tak sroka odetnie.
— A zimę co będzie,
Gdy śnieg leży wszędzie?
Zapyta wiewiórka.
— Są ludzkie podwórka,
Krzykalska odeprze,
— Tam kąski najlepsze,
Gdy zajrzeć w śmietnisko!
— Przepraszam!... tak nisko
Wiewiórka nie spadła,
By z śmieci co jadła!
Wiewiórka odpowie:
— Mnie praca na zdrowie,
I stokroć ją wolę,
Niż ptasie swawole!

M. Z.

WIELKIE ZDOLNOŚCI,

POWIASTKA Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

przez **Z. Morawską.**

(Dalszy ciąg).

— Ja widziałem na obrazku, a i żywego w ogrodzie zoologicznym — mówił Staś.

— Jaktó, żywego, tuż, blisko i nie udusił cię? — pytał Józio patrząc oczami pełnemi podziwu.

— Bardzo blisko, wilk zamknięty był w klatce, a ja tuż stałem przy klatce. Ale ja się tam niczego nie boje! — dodał Staś, wzięwszy się ręką pod boki.

— Ba! nie bałeś się, bo wilk był w klatce, ale żebyś go tak zobaczył przed sobą bez klatki, tobyś dopiero uciekał — rzekł Józio, śmiejąc się.

— Cóż ty myślisz, że ja tchórz jestem? — pytał Staś oburzony.

— Nie, ale wilka nie tylko się tchórze boją — odrzekł mu Józio.

Chwilę tak szli w milczeniu, zciemniać się już zaczynało, a gdy dochodzili do chaty pustej, co stała pod lasem, przemknęło coś koło niej skręciwszy około krzaków.

— Józio, patrzno, co to tam tak przeleciało koło tych krzaków? — spytał Staś, chwytając towarzysza za rękę.

— To pewnie wilk! — rzekł Józio, udając przestraszony a śmiejąc się pocichu.

— Wilk! — zawołał nasz bohater i pędem strzały pobiegł do ojca, który wraz z całym towarzystwem szedł o kilka kroków za nimi.

— Co ci stało? — zapytał ojciec, widząc chłopca przestraszonego.

— Bo tam wilki! — wyjąkał chłopiec, trzymając ojca za rękę i wskazując między krzaki.

— Gdzie? co?

I wszyscy spojrzeli w stronę, gdzie Staś pokazywał; z krzaków ukazał się Obal, który popędziwszy dalej, wracał do idących, pokręcając ogonem na znak powitania. Wszyscy w śmiech, a Staś rzekł niezadowolony.

— Ach, ten Obal, to dziś zawsze mi stoi na przeszkodzie!

— To nie Obal, tylko ty sam sobie zawsze szkodzisz — rzekł mu ojciec, któremu przykro było, że syn ma tak mało odwagi, a tak nieustannie się chwali.

V.

Przez dwa dni deszcz padał i dzieci nie mogły biegać i bawić się na dworze; ojciec znów przypominał Stasiowi, żeby zabrał się do lekcyj. Staś pracował wprawdzie trochę, ale potem poszedł do sali, gdzie leżało książek kilka, które starsi czytali. Wziął więc pierwszą z wierzchu, bo miała złoczone okładki i zaczął czytać z zapalem. Prześliczne wiersze zachwyciły Stasia czytał je więc przeszło godzinę. Nie miał jednak w zwyczaju obejrzeć przez kogo książka napisana, otwierał tylko spojrzawszy na tytuł i czytał, opuszczając miejsca, które mu się mniej podobały; tak się też stało i z czytana teraz książką. Gdy Józio przyszedł po skończonych lekcjach, zastał Stasia zagłębionego w fotelu z książką w ręku.

— A toś się zaczytał! — rzekł Józio, wchodząc.

— Ach, mój kochany, ten *Pan Tadeusz* bardzo ładne pisze wiersze — rzekł Staś z powagą — czyś ty to czytał?

— Nie, bo ja nigdy nie czytuję tych książek co tu leżą, ja mam swoje u siebie w pokoju, czasem tylko przeglądam obrazki. A czy ta książka z obrazkami?

— Ale gdzież tam! — rzekł znów Staś, wzruszając ramionami i pokazując książkę.

— A, to wiem, słyszałem jak kiedyś ojciec głośno czytał; — ale to nie żaden *Pan Tadeusz* napisał, tylko Adam Mickiewicz, największy nasz poeta.

— Przecież ja wiem, że Mickiewicz był wielkim poetą, ale to co innego, tutaj napisane „*Pan Tadeusz*”, o, patrz — i otworzył książkę na pierwszej kartce.

Józio spojrzawszy i przeczytał uważnie:

„*Pan Tadeusz*”, przez Adama Mickiewicza.

— A prawda — rzekł Staś — nie spojrzawszy, że tam jest coś dalej. Ale to wszystko jedno. Zawsze to bardzo ładne!

— Tak, bo Mickiewicz pisał bardzo ładne wiersze potwierdził Józio — nawet umiem jedno wiersze, które on napisał.

— Umiesz, a jakiej? — zapytał Staś.

Józio recytował:

„Powrót Taty”.

„Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem

„Za miasto pod słup na wzgórek;

„Tam przed cudownym klękniście obrazem

„I zmówcie razem paciorek...”

— Aha, to i ja umiałem! ale to takie dziecinne! — zawołał Staś przerywając.

— Dziecinne? ale to napisał ten sam Mickiewicz, co i Pana Tadeusza, a ojciec powiada, że inne wiersze tego autora, to nie dla dzieci — odrzekł Józio.

— Nie dla dzieci, nie dla dzieci! ja tam wszystko czytam; ciekawy jestem, czemu dzieci nie mają czytać tego, co starsi? Przecież czytać umiem — mówił Staś, zakładając nogę na nogę, i przybierając minę dorosłego mężczyzny — A oprócz tych wierszy, czy uczyłeś się jakich innych? — zapytał Staś po chwili.

— A tak uczyłem się.

— A jakich?

— Umieję dużo wierszy Stanisława Jachowicza; umiem „*Żydek*” „*Tadzio*” „*Drewniane kluski*”, „*Kasza tatarska*”.

— A to mi śliczne wiersze! — przerwał Staś — ja takich kiedyś się uczyłem, ale teraz to innych się uczę.

— A jakich? może umiesz, to powiedz mi — prosił Józio — bo ja bardzo lubię słuchać, gdy kto deklamuje.

— Dobrze, czekaj, powiem ci zaraz.

I zaczął z miną pewną siebie.

„Ej ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz kozacze?
„Czyś zobaczył zajęcia co na stepie skacze...”

I zaciął się.

— E, zapomniałem, ale to bardzo ładne.

— Szkoda, bo to o koniu — mówił Józio — ale przez kogo to?

— To, to... to przez tego samego Mickiewicza — rzekł jakając się Staś. A mylił się nieborak bardzo, bo wiersze, które zaczął mówić, są napisane przez Antoniego Malczewskiego, również nie dla dzieci.

— Ale czekaj, powiem ci co innego — rzekł Staś. — I zaczął:

„Pod niegminną i nie podłą
Urodziłem ja się strzechą,
Herb Dębóróg moje gołdo...”

I znowu się zaciął.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

(Od Jerzynki z Drewnicy dla Mikada).

Z następujących zgłosek: a—a—~~a~~—brew—cecz—
don—dre—e—fu—ke—lar—le—le—le—mó—na—na—
nel—o—pi—po—par—ry—stek—sta—sy—szach—tu—
ter—yan—za—zy— ułożyć wyrazy: 1. Władca azyatycki.
2. Wąwóz słynny w historii. 3. Ptak. 4. Tkanina jedwabna.
5. Imię męskie. 6. Przyrząd do szycia. 7. Część twarzy.
8. Kwiat. 9. Podziemie. 10. Miasto na Szląsku. 11. Nazwa średniowiecznej wojownika. 12. Przewisko narodu zamorskiego. Początkowe i końcowe litery, czytane od góry do dołu, utworzą imiona i nazwiska dwóch królów polskich.

1. król
2. Termopile
3. drewno
4. ...

2. brew
3. ...
4. ...

na
...
...

ROZWIĄZANIE DO N-ru 36-go.

Łamigłówki kryształowej:

M
K O S
W A N D A
P E L I K A N
M O N I U S Z K O
P L I S Z K A
B A Z E L
A K R
O

Skrzynka do listów.

Jelonek z pod Skalbmierza ucieszył nas bardzo liścikiem. Wiemy, jak trudno młodzieży szkolnej o chwilkę swobodnego czasu, umiemy to cenić, gdy pilny uczeń podczas wakacji o nas pamięta. Życzymy szczerze Jelonkowi, skoro tak lubi góry i górskie rośliny, aby się dostał do Zakopanego, bo ta urocza okolica zachwyci go pewno.

Maniunia z Kleczewa pamięta o biednych dzieciach, może być pewna, że one jej błogosławić będą.

Bławatek bardzo porządnie na swój wiek pisze i prosimy, aby o nas nie zapomniał. Bardzo to ładnie, że oprócz koników, piesków i kotków, miły ten Bławatek lubi także i nasze „Wieczory”.

Srocza z Ukrainy tak miłutko na pierwszy raz zaskrzeczała, że radzibyśmy przyjaźni tej Sroczi zachować i prosimy, aby się częściej do nas odzywała.

Czapla z nad Polanki jest już przeciw dawną korespondentką i powinnyby wiedzieć, że długie liściki nigdy się nie przykrzą w naszej redakcji, chociaż z zalem krótko odpisywać musimy. Serdecznie dziękujemy, że Czapla kochana pamiętała o nas wśród tak wesołych wakacyj. Lecz o ile do redakcji pisać można jak najdłużej, o tyle znów liściki do innych korespondentek muszą być króciutkie, bo na takie tylko jest miejsce.

Mołodyca ukraińska pochwyliła nas za serce poczciwym liścikiem, w którym nawet i kaligrafią staranną chciała nam sprawić przyjemność. Szczerze też radzimy kochanej Mołodycy, ażeby się powoli starała tych śpiczastych kruczków niemieckich pozbyć. Jakże się cieszymy, że komedyjki z „Wieczorów” dopomogły do tak wesołej zabawy, a bardziej jeszcze, że Mołodyca i na obczyźnie o nas pamięta. „Szarża” jest to wyraz, oznaczający natarcie gwałtowne wojska podczas bitwy. Nie wiemy, dlaczego jedna z korespondentek naszych taki wojowniczy obrała sobie pseudonym.

Wilnianka szczególnie zadaje pytania! pod jakim adresem przesyłać odpowiedzi na zadania konkursowe? Ależ, Wilnianko kochana, adres redakcji naszej wypisany jest w każdym Numerze Pisma. W jakiej formie mają być pisane? W jaknajprostszej; kto tylko zechce uważnie odczytać warunki zadania, łatwo to zrozumie. Książki wysłane.

Białej Ostróżce możemy donieść, że nowe zadanie konkursowe będzie podane zaraz po rozstrzygnięciu wakacyjnego konkursu, w pierwszej połowie Października. Gołąbka pocztowa wybierze tym razem coś łatwego i wszyscy będą mogli o nagrodę się ubiegać lub przynajmniej o wzmiankę zaszczytną.

Al-chemikowi dziękujemy zawczasu za obiecany eliksir młodości. W redakcji naszej znajdzie się dużo ochotników do niego tylko Gołąbka pocztowa nie pragnie jeszcze odmłodzić, więc prosi o co innego, np. parę bryłek złota, tylko sporych, lub brylancików, a także sporych.

Gospośia z nad Warty prawdziwą przyjemność nam sprawiła tak dokładnym opisem malowniczej miejscowości, w której mieszka. Łamigłówki wydrukujemy.

Leniwiec otrzymał już zapewne żądane przedmioty, pozostało jeszcze 13 kop. Jesteśmy pewni, że pseudonym nie może się stosować do młodzieńca, piszącego tak porządnie.

Kmiotek musi poczekać troszkę, łamigłówka jest dobra, ale niedawno nadeszła, mnóstwo innych czekało kolei, inaczej być nie może.

Zuzula z nad Wisły dobrze rozwiązała „Prozę i poezją”, szarada nie zupełnie dobra, nazwa rośliny „mora” jest nieznaną, a rymy bardzo słabe. Trzeba coś lepszego wymyśleć.

Jastrzębia podolskiego prosimy aby na drugi raz pisał „Kochana pani”, a nie „Szanowna redakcyo”, taki u nas zwyczaj.

Jaskółka z nad Sekwany ucieszyła autorkę „Branki litewskiej” tak pochlebną wzmianką o tej powieści. Autorka miała rzeczywiście na celu zapoznanie czytelników z dawną Litwą i zebrała dużo szczegółów z najlepszych źródeł.

Wszystkim, piszącym do Gołąbki pocztowej, ona sama odpowie niezadługo.

Kochana Ostróżko biała! Dziękuję ci bardzo za liścik, chociaż nie był wydrukowany. Wiem dobrze kim jesteś. Nazywałeś się Julcia, masz lat 11, mieszkasz o 10 wiorst od nas. Zależałaś, że nie byłaś u nas 26 Sierpnia, gdyż bawiliśmy się wybornie z gromadką kuzynków. Poproś Mamy, żeby cię do nas przywiozła i odpisz przez „Wieczory”, twoja Czapla z nad Pohanki.

Droga Różyczko ukraińska! Bardzo ładny obrałaś pseudonym, chciałam go sobie wybrać, aleś mnie uprzedziła. Napisz mi, ile masz lat i jak wyglądasz. Ja mam lat 10 i także jestem Ukrainką; odpisz mi, Ostróżka biała.

Droga Bułanko! Ucieszyłam się bardzo, że cię z tyłu korespondentek szczęśliwym trafem wybrała, a teraz dowiaduję się z radością, że jesteś siostrą kochanej pszczelarki. Wszystko to zawdzięczam kochanemu naszemu Pisemku; przesyłam wraz z siostrami serdeczne pozdrowienia tobie i p. Jadwidze, twoja Szarża.

Kochany Wilku ze stepów Chersońskich! Gdy obaczyłem w skrzynce do listów twój pseudonym i tak dobrą o tobie opinią, że zamiast chwycić biedne owieczki, karmisz je i odziewasz, zaraz postanowiłem napisać do ciebie. Korespondujmy z sobą przez nasze kochane „Wieczory”. Napisz mi co o sobie, a ja ci odpiszę, Jastrząb podolski.

Kochana Jaskółko z nad Newy! Nie zgadłaś kto jestem, nie nazywam się Andzia, nie mam braciszków i nie mieszkam w Tulczynie. Ciocia Helena zganiła mój pseudonym, zmieniam go więc na inny. Czemu przez czas wakacji nie napisałaś do mnie ani razu? Jak czas przepędzasz na letniem mieszkaniu? Nie zapomnij o swój siostrzyczce, Przepióreczce z nad Teterowa.

Kochana Bułanko! Choć cię wcale nie znam, chciałabym jednakże z tobą korespondować przez nasze miłe Pisemko. Donieś mi więc ile masz lat i jak się nazywałeś, podobno bardzo lubisz konie, i ja twój gust zupełnie podzielam. Odpisz proszę kochającej cię choć nieznaną, Małą Amazonce.

Kochana Żabko z nad Smotrycza! I ja mieszkam nad Smotryczem więc jak zechcesz będziemy z sobą korespondować, lubię bardzo Wieczory a ty czy lubisz je? Otrzymałam nagrodę na przedostatnim konkursie. Napisz mi jak się nazywałeś. Imię moje jest Marja. Całuję ciebie, Lobelja.

Miła Muszko z nad Horynia! Fotografiją moją da ci Ptaszyna z nad Wiliłi gdy przyjedzie do B. Lecz proszę cię przyslij mi prędko swoje. Mamy teraz wielką przyjemność, gdyż rodzice kupili nam parę macyków więc możemy same powozić. Całuję cię, Lilijka z nad Horynki.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Zawisza czarny kop 20. — K. Ostach, kop. 55.

Dla biednych dzieci: A. Brzost, kop. 50.

Ubrania: Władzia i Witold.